



PARLAMENTARIUSZ

Wg Murraya Leinstera
opr. Krzysztof Zarzecki

Wszyscy oczywiście pamiętamy historię korsarzy przestrzeni międzygwiazdnych. Nie było ani jednego człowieka, który by ujrawszy przedstawicieli tych istot, zdołał ująć z życiem i mógł coś bliższego o nich powiedzieć. Pamiętamy także dalekosiężne poszukiwania ich ojczyzny i bazy, które tyłu ludziom przyniosły śmierć. Już na długo przedtem korsarze międzygwiazdni niszczyli poszczególne nasze jednostki. Aż wreszcie eskadra ich floty przestrzennej najechała kolonię ziemską na Capella 3 i bez ostrzeżenia ni powodu, bez najmniejszej próby porozumienia wymordowała co do jednego całą półmilionową ludność. Wtedy dopiero rozpoczęły się zorganizowane poszukiwania.

Historia niniejsza opisuje jeden z epizodów owej akcji, a bohaterem jej jest — pies, który wabił się Buck.

* * *

Buck wkroczył godnie ze swym panem do kabiny kontrolnej lekkiego krążownika międzygwiazdowego „Kennessee”. Poczekał cierpliwie, póki kapitan nie uniesie głowy znad teleskopu elektronowego, a jego pan, Holden, nie usadowi się w fotelu z plikiem najnowszych nagrań fal przestrzennych, które właśnie przyniósł z kabiny komunikacyjnej. Teraz Buck popatrzył badawczo na kapitana, po czym wyciągnął się na podłodze. Ułożył pysk pomiędzy łapami i westchnął głęboko. Nie było to jednak westchnienie niezadowolenia. Buck był psem wymagającym. Pozostawał w przyjaznych stosunkach ze wszystkimi na „Kennessee”, od kapitana począwszy, na najskromniejszym boyu z kantyny kończąc. Ale jego panem i bożyszczem był podporucznik Holden. Gdziekolwiek udawał się Holden, Buck szedł tam za nim — o ile oczywiście dozwalały na to przepisy — i czekał, aż jego pan zechce udać się gdzie indziej.

Leżał i teraz na piankowej podłodze, słuchając głosu Holdena oraz odpowiedzi kapitana. Z tonu obydwu przebijała troska i niepewność. A Buck drzemał. W półśnie przebiegały mu przez głowę kontury jakichś obrazów. Były to przeważnie wspomnienia, najczęściej wspomnienia rozkosznych harców pośród wysokich traw zielonej ziemskiej łąki, oczywiście Holden znajdował się zawsze gdzieś w pobliżu. Głosy rozmawiających stanowiły odległe tło tych snów.

Mężczyźni byli poważnie zaniepokojeni. Krążownik „Kennessee” posuwał się po orbicie jednej z komet

układu słonecznego Masa Gama. Z wyłączonym napędem, nie zdradzając żadnego znaku życia, miał towarzyszyć martwego przybysza z przestrzeni. Jednocześnie jednak — o ile to się powiedzie — chciał spełnić swoje potworne zadanie: przygotować zagładę tajemniczych, wrogich istot przy pomocy zdalnie kierowanych pocisków, zdolnych miażdżyć planety. Ludziom nie podobało się to. Liczyli, że jakaś inna jednostka ziemskiej floty międzygwiazdnej będzie miała wątpliwe szczęście uwieńczenia swych poszukiwań sukcesem. Ale cóż, rozkaz jest rozkazem.

Już przed paroma tygodniami, jeszcze w znacznej odległości od pierwszej z brzegu planety układu Masa Gama, „Kennessee” z ponadświetlnej przeszedł w szybkość podświetlną. Uzyskawszy szybkość i kurs właściwy kometcie, ruszył jej szlakiem poprzez układ jedenastu planet. I prawie od razu jego urządzenia odbiorcze zarejestrowały międzyplanetarne sygnały radiowe — dowód, że musi tu istnieć jakaś cywilizacja. Oczywiście sygnały były niezrozumiałe, ale można z nich było wnioskować, że cywilizacja ta pod względem technicznym da się porównać z ludzką. Tego właśnie szukał „Kennessee”, jak i wszystkie lżejsze jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej.

Załoga „Kennessee” wiedziała tylko, że gdzieś żyją istoty będące śmiertelnym wrogiem ludzkości, choć nigdy nie wchodziły one w bliższe stosunki z Ziemią. Od lat już z zastanawiającą częstością powtarzały się wypadki ginięcia ziemskich jednostek wywiadowczych. Już wówczas zrodziły się podejrzenia, ale nie było jeszcze żadnego dowodu istnienia wrogich istot napadających człowieka przy każdym zetknięciu. Dostarczyła go dopiero przed pół rokiem zagłada kolonii ziemskiej na Capella.

O okrutnych napastnikach dowiedziano się jednak tylko tyle, że nie są ludźmi. Teraz trzeba ich odszukać i jeśli nie uda się dojść do porozumienia — zniszczyć, nim staną się dość silni, by zetrzeć rodzaj ludzki z powierzchni Ziemi. Załoga „Kennessee” zdawała sobie doskonale sprawę, że nieznanne istoty mogą zamieszkiwać planety układu Masa Gama, nigdy dotąd nie badanego przez człowieka. Cywilizacja, która rozporządza międzyplanetarną sygnalizacją radiową, może również...

Buck drzemał tymczasem na podłodze kabiny kontrolnej. W przyćmionej świadomości przesuwaly się drobne ulamki snów — zapach maszynowni; kawałek pogoni za kotem; parę chwil pracowitego obwąchiwania drzewa... Na jakąś głośniejszą uwagę otworzył oczy.

— Muszą w każdym razie dokonywać lotów międzyplanetarnych. — To mówi Holden. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że odebrane sygnały służą do utrzymania łączności pomiędzy planetami. Wygląda mi na to, że nadają je istoty, których szukamy.

Kapitan pokiwał głową.

— Być może. Ale jeżeli na podstawie naszego raportu mają one ulec zagładzie, musimy się co do tego upewnić. Taki jest rozkaz. Czy są one w stanie zniszczyć „Kennessee”? To jest dopiero dowód, którego nam potrzeba. Jeśli potrafią nas zamordować, są tymi wrogami, których szukamy. Ale nie są nimi, jeśli tego nie potrafią. I to musimy stwierdzić.

— A czyż komunikacja międzyplanetarna nie jest dostatecznym dowodem?

— Komunikacja międzyplanetarna to jeszcze nie komunikacja międzygwiazdowa — odparł kapitan. — Trzeba będzie zaraz wysłać na Ziemię torpedę ze wszystkimi danymi, jakie posiadamy. Ale jak dotąd, Holden, nie odebraliśmy jeszcze fali whango. Nie mamy więc dowodu, że istoty, których obecność stwierdziliśmy, dokonują lotów międzygwiazdowych, a nasi wrogowie dokonują.

— Może kryją się z tym przed nami — powiedział Holden. — Nim się tu zjawiliśmy, musieli odebrać wytworzoną przez nas falę whango. I może teraz czatują, aż się zbliżymy na tyle, żeby mogli nas zniszczyć bez śladu. Tak żebyśmy nie byli w stanie ani się już bronić, ani wysłać raportu na Ziemię. To dla nich dość typowe.

Wstał, a Buck natychmiast zerwał się także, mierzając ogonem. Jego pan, Holden, idzie gdzieś, więc Buck pójdzie razem z nim. Czekał zadowolony. Dla Bucka szczęście polegało na tym, żeby iść wszędzie tam, gdzie idzie Holden, żeby znajdować się tam, gdzie przebywa Holden; jednym słowem, na tym, żeby wciąż pławić się w poczuciu obecności Holdena. Była to przyjemność nader nieskomplikowana, ale Buck naprawdę niczego więcej nie pragnął od losu. Gdy Holden głąskał go lub bawił się z nim, choćby niezbyt delikatnie, szczęście Bucka przechodziło w ekstazę. Więc czekał teraz zadowolony po prostu z tego, że pójdzie z Holdenem.

— Tak, wszystko to prawda — zgodził się kapitan. — Może i czatuje na nas. Zobaczymy. W każdym razie wyślemy zaraz na Ziemię torpedę z wszystkimi wiadomościami. Jeżeli nie wrócimy, nasza flota będzie przynajmniej wiedziała, w którą stronę ma się udać i kogo unieszkodliwić. Potem przystąpimy do próby lądowania w rakiecie ratunkowej. Wątpię, żeby nasi wrogowie potrafili sobie odmówić przyjemności zniszczenia jej. Jeśli jednak rakieta wróci, dowiemy się czegoś o ich uzbrojeniu.

— Panie kapitanie — powiedział szybko Holden — zgłaszam się na ochotnika do rakiety ratunkowej.

— Zobaczymy — odrzekł kapitan. — Najpierw przygotuj wszystkie dane, jakie musi zabrać torpeda. Czy jesteś zupełnie pewien, że to były wiązki kierunkowe? Coś jak w naszym dawnym radarze? I że zostały nadane w naszą stronę z czwartej planety?

Najpewniejszy w świecie — oświadczył Holden — Oczywiście trudno powiedzieć, jak dokładne są wiadomości, które o nas uzyskali przy pomocy tego urządzenia. Ale w każdym razie zrozumiałe jest, że chcą w ten sposób zbadać pojawiającą się na niebie kometę...

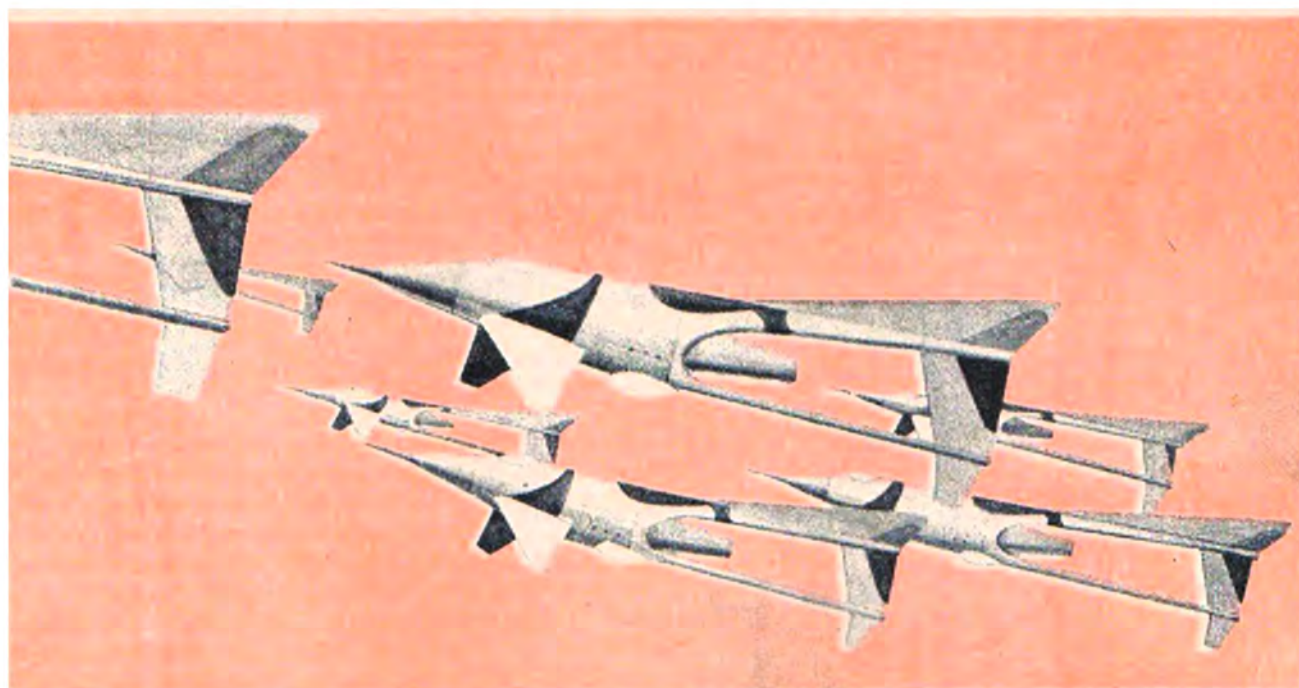
— Miejmy nadzieję — rzekł kapitan błyskając oczyma — że echo odbite od naszego kadłuba powiedziało im: „To tylko kometka, nic więcej”. A więc Holden, żeby mi wszystko było gotowe za pół godziny.

Holden zasalutował i opuścił kabinę kontrolną. Za nim kroczył godnie Buck, wielki brunatny pies, któremu ani śniło się zawracać sobie głowę takimi głupstwami jak podróże międzygwiazdowe czy niewiadome istoty z bezsensownym okrucieństwem pozabawiające życia pół miliona ludzi.

Buck był zupełnie zadowolony ze swego psiego losu. Był przecież ze swoim panem.

Rada planetarna układu Masa Gama zebrała się na naradę. Nie było to wesołe zgromadzenie. Wiazki kierunkowe wykazały, że domniemana kometka, która pojawiła się na niebie, jakkolwiek posiada się po całkowicie prawidłowej orbicie, jest w rzeczywistości tworem sztucznym — statkiem międzygwiazdowym. Nie stosuje on wprawdzie napędu i nie zdradza żadnych w ogóle znaków życia. Przeciwnie jednak pole grawitacyjne zewnętrznych planet — nie wykazując przy tym ani śladu rotacji. A to jest możliwe tylko w tym wypadku, o ile wewnątrz pracuje żyroskop lub jakieś podobne urządzenie.

— Mielśmy już jedną wizytę z przestrzeni międzygwiazdowych — powiedział przewodniczący Rady Planetarnej. Wyglądał na bardzo przygnębionego. —





Znamy z historii skutki tej wizyty. Jeżeli i ten statek wiezie te same istoty, musimy go zniszczyć jak najprędzej. Moim zdaniem, wystarczającym dowodem jest fakt, że usiłuje się zbliżyć niepostrzeżenie. Ale z drugiej strony ten kamuflaż świadczy o pewnych podejrzeniach wobec nas, podejrzeniach, że to myśmy zniszczyli poprzedni statek. Jeśli zniszczymy i ten, podejrzenia zamienią się w pewność i możemy być przekonani, że następną wizytę złoży nam potężna już flota. Oznacza to, że całą naszą cywilizację będziemy zmuszeni przestawić na produkcję wojenną. Będziemy musieli pomyśleć o napędzie, który pozwoli nam wyjść poza nasz układ słoneczny. Wszystkie nasze godziny będą odtąd płynęły w bezustannej walce o życie. Z istot nastawionych pokojowo będziemy musieli przekształcić się w istoty o psychice dostosowanej wyłącznie do potrzeb wojny.

Przedstawiciel Pierwszego Kontynentu był nieco lepszej myśli.

— Skąd pewność — zapytał — że są to istoty tej samej rasy, co poprzednie? Statek ma przecież zupełnie inny kształt. I skąd pewność, że i z tymi istotami, tak jak z poprzednimi, nie da się w żaden sposób dojść do porozumienia?

— Oczywiście, co do tego nie ma pewności — odparł przewodniczący zmęczonym głosem. — Analiza psychologiczna zewnętrznych kształtów statku dowodzi, jak nam się wydaje, że są to raczej istoty odmienne. Ale czy mimo to możemy sobie pozwolić na nawiązanie z nimi pokojowych kontaktów? Ma się rozumieć, załoga pojedynczego statku jest zdana na naszą łaskę i niełaskę. I prawdopodobnie będzie symulowała przyjaźń, po to ażeby odjechać stąd z uzyskanymi wiadomościami, które potem posłużą do przygotowania nam zagłady. Czy możemy w ogóle mieć zaufanie do istot, które wysyłają pojedynczy statek na przeszeptanie, żeby zebrać o nas wiadomości?

Zaległa cisza. Przed dwustu laty pojawił się już jeden statek międzygwiazdny w układzie Masa Gama. Zniszczenie połowy planety i zagłada wielu milionów istot były ceną, jaką wypadło zapłacić za jego unieszkodliwienie. Okazało się to jednak nieuniknione. Załoga statku nie reagowała na żadne próby nawiązania przyjaznych kontaktów. Gdziekolwiek wylądowała, niszczyła w okrutny sposób wszystko, co było wykwitem konkurencyjnej cywilizacji. A przede wszystkim mordowała mieszkańców. Nie można z nią

było dojść do porozumienia, więc trzeba ją było — uśmiercić.

— Gdybyśmy mogli przynajmniej — powiedział z żalem przedstawiciel Trzeciego Kontynentu — dostać w ręce jednego jedyne go członka załogi tego statku, żeby się upewnić, że nie ma żadnej nadziei porozumienia. To straszne, że nie możemy się nawet upewnić, zanim...

— Tak, to straszne — przytaknął przewodniczący głucho. — Przetawić całą naszą cywilizację na produkcję wojenną i skazać się na długą wojnę to najstraszniejsze, co może być. Ale nie widzę innego wyjścia. Poddaję pod głosowanie, czy mamy zniszczyć statek, który pojawił się w naszym układzie?

Głosowano niechętnie, ale jednomyślnie. Za wojną.

Torpeda, którą „Kennessee” wystrzelił z komory rufowej, nie odznaczała się imponującym wyglądem. Był to przedmiot o kształcie cygara, długości jakichś dwu metrów. Oderwawszy się od krążownika, torpeda miała przez piętnaście minut posuwać się z przyspieszeniem trzydziestu pięciu ciężkości, po czym przejść w szybkość ponadświetlną. W tym momencie skończy się jej egzystencja z punktu widzenia normalnych kategorii przestrzennych, co znajdzie swój przejaw w emisji niezmiernie jaskrawej energii, tak zwanej fali whango, wyczuwalnej w promieniu setek milionów kilometrów. W pobliżu Ziemi torpeda wyjdzie z szybkości ponadświetlnej przy pomocy drugiej podobnej fali. Ta druga fala będzie miała dodatkowe znaczenie. Odległość pomiędzy Masa Gama a bazą macierzystą „Kennessee” wynosi około osiemdziesięciu lat świetlnych. Wiadomość nadaną drogą radiową, transmitowaną za pośrednictwem promieni zwartych, odebrałoby w bazie prawnukowie załogi krążownika. Torpeda natomiast dotrze tam w ciągu niewielu dni. Fala whango, tworzona przez rozgałęzioną sieć statków łączności, które również odbiorą i przekażą dalej wiadomości transmitowane automatycznie przez torpedę, a następnie zловіją ją samą, ażeby zapoznać się z danymi pisemnymi oraz okazami fizycznymi.

Buck nie był obecny przy wystrzeleniu torpedy. Był zbyt duży, ażeby zajmować niepotrzebnie miejsce w zatłoczonej i tak komorze rufowej, która się mieściła w zwężającym się, spiczastym ogonie krą-

zownika. Holden nie pozwolił mu tu wejść, a Buck był zbyt przekonany o przywiązaniu pana do siebie i o swej własnej wartości, żeby brać sobie takie sprawy do serca. Wiedział dobrze, że bywają momenty, kiedy nie powinien się plątać pod nogami. Ale wiedział również, że lubią go wszyscy członkowie załogi, ruszył przeto godnym kroczkiem na poszukiwanie pośledniejszego wprawdzie, lecz zawsze ludzkiego towarzystwa, dopóki pan nie dopuści go na powrót do siebie.

Został kilku członków załogi przy zaopatrywaniu rakiety ratunkowej, która miała dokonać lądowania, i jak przystało na towarzyskiego psa, wszedł za nimi do wnętrza. Wcisnął się do niewielkiej kabiny kontrolnej za mężczyzną, którego przysłano tu, żeby skasował niepotrzebne zapisy, i obserwował.

Po chwili zjawilo się jeszcze kilku mężczyzn, Ci, którzy zajęci byli przygotowaniami do lotu, odeszli — i rakietka kilkoma ruchami wywindowana została nieco w górę. Buck zamrugał z kąta, gdzie leżał zwinięty na podłodze. W iluminatorach rakiety migotały gwiazdy. Zrobiło się oślepiająco jasno. Nieczym nie przyćmiłony blask gwiazdy Masa Gama wpadł przez przedni iluminator i położył się świetlistą plamą na tylnej ścianie. Do kabiny wszedł podporucznik Maynard i nacisnął guzik telefonu.

— Osłony otwarte, rakietka ratunkowa w pozycji wyjściowej — powiedział ostro. — Wszystko przygotowane do startu.

— Przyjąłem — rozległ się w megafonie głos Holdena; brzmiał jakoś posepnie. — Startujcie w momencie, gdy uderzy fala whango. Może zakłóci im ten ich radar i uda wam się wystartować niepostrzeżenie. Powodzenia.

Buck był przyzwyczajony do megafonów. I znał dobrze głos swego pana. Zaczął merdać ogonem, stukając miarowo o ścianę. Maynard obejrzał się gwałtownie i wykrzyknął:

— Buck. Buck jest tutaj. Schował się w kącie.

Chwila ciszy. Potem znowu głos Holdena, jeszcze posepniejszy.

— Trudno, Maynard. Nie ma już czasu, żeby go przeprowadzić z powrotem na pokład. Musi lecieć z wami.

— Może to i dobrze — powiedział Maynard wesoło. — Będziemy mieli maskotkę. Ile jeszcze czasu zostało?

— Dwadzieścia sekund — odparł głos Holdena. — Ale z ciebie szczęściarz, bracie. Miałem nadzieję, że to ja polecę, dopóki nie dokupię tego asa.

Maynard zachichotał. „Kennessee“ zapuszczał się w nieznaną i najprawdopodobniej wrogą układ słoneczny. Jeżeli to jego mieszkańcy niszczyli podstępnie jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej i zde-wastowali kolonię na Capella 3, niewielkie były szanse, aby krążownik kiedykolwiek opuścił cało układ Masa Gama. Ale nie powstrzymywało to młodszych oficerów statku przed rozegraniem partyjki pokera o przywilej niebezpiecznego eksperymentu lądowania na największej z planet.

W megafonie rozległ się nagle ton tak głośny i niesamowity, że membrana zdolała brzęknąć tylko raz, po czym ją wydać jakieś zdławione, chrapliwe dźwięki. Pyta to fala whango wytworzona przez torpedę, podmuch promieniowania tak silny,

że blokował każde urządzenie odbiorcze w swoim zasięgu, bez względu na to, jak nastrojone.

Buck doznał miazdzącego uczucia ciężaru i osunął się na tylne oparcie fotela, na który właśnie wskoczył. Jakaś siła przyciskała go mocno do miękkiej poduszki. Wil się nie mogąc złapać tchu. W jego oczach odmalowała się żalosc. Buck nie lubił momentu przyspieszania. Prawdę mówiąc, nie lubił w ogóle latać rakieta ratunkową. I oto skazany był na lot rakieta, skazany przynajmniej na okres najbliższych osiemnastu godzin.

Wiadomość dotarła do nowoutworzonego Departamentu Wojny na Masa 4.

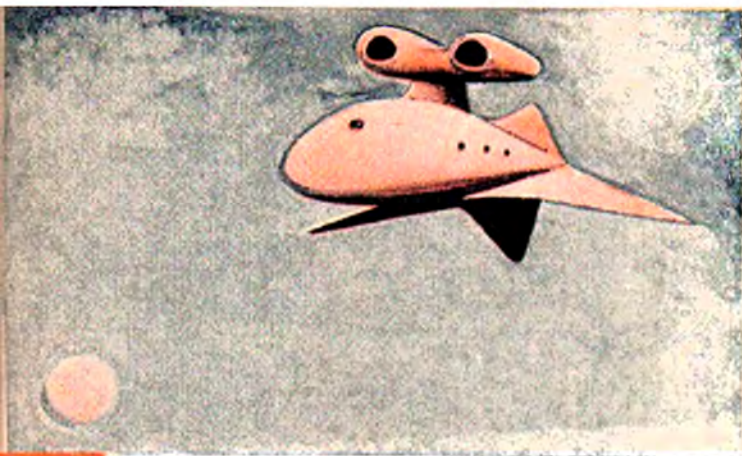
Departament Wojny został gorączkowo zorganizowany jako naczelną jednostką koordynującą do ostatniego erga energię całego układu słonecznego w zsynchronizowane promienie świetlne, które w określonym momencie wyruszą jednocześnie z czterech planet położonych po jednej i tej samej stronie swego słońca, ażeby zbiec się na pseudokometę. Śmiercionośne promienie nie są bronią materialną, którą detektory statku byłyby w stanie wykryć dość wcześnie, aby mógł on dokonać jakiegokolwiek unik. Rozchodzą się z szybkością światła, a ciało, które znajdzie się w ich ognisku, zostanie rozgrzane do temperatury jądra słonecznego. Nie do pomyślenia jest, żeby jakiegokolwiek urządzenie odbiorczo-nadawcze zaczęło działać wcześniej, niż otrzyma bodziec, tak więc promienie są bronią praktycznie niezawodną. Niezawodną, jeśli w grę wchodzi jeden statek. Jednakże obliczenie wzajemnego stosunku faz emitujących je planet, które przecież znajdują się w stałym ruchu, tak żeby poszczególne promienie komasowały swą energię zamiast częściowo likwidować się nawzajem, to sprawa ogromnie skomplikowana. Dlatego za ich pomocą można zniszczyć pojedynczy statek międzygwiazdny, którego kurs i szybkość są znane, względnie statek, który już wylądował na którejś z planet — o ile starczy czasu na dokonanie koniecznych obliczeń. Natomiast w wypadku pojawienia się całej floty broń ta stanie się bezużyteczną. Potrzeba dni czy tygodni, ażeby zgromadzić ilość promieni niezbędną do skutecznego ciosu w określony punkt. W obliczu wielu statków o zmiennym kursie i szybkości promienie będą bezsilne.

Wiadomość, która nadeszła do Departamentu Wojny, brzmiała następująco:

NIEWIELKA RAKIETA MIĘDZYPLANETARNA ODŁĄCZYŁA SIĘ OD OBSERWOWANEGO STATKU W MOMENCIE SILNEGO PONADDZWIĘKOWEGO ZAKŁOCENIA FALOWEGO. RAKIETA STERUJE W KIERUNKU PLANETY 4. PRAWDOPODOBNIEM ZAMIERZA LĄDOWAĆ STRONĄ ODSŁONECZNA. OKRĘG POŁNOČNY PIERWSZEGO KONTYNETU. CZEKAMY NA ROZKAZY.

Niedawno powstały Departament Wojny nie miał jeszcze czasu wypracować sobie biurokratycznych metod pracy i napuszonego stylu. Dlatego zapewne odpowiedź nadeszła w ciągu kilkunastu minut.

EWAKUOWAĆ CAŁĄ LUDNOŚĆ Z ZAGROŻONEGO OKRĘGU. PRZYGOTOWAĆ POJAZDY TERENOWE I SAMOLOTY ATMOSFERYCZNE DLA ROZPOZNANIA, JAKIM UZBROJENIEM DISPONUJE RAKIETA. NADAĆ APEL RADIOWY DO OCHOTNIKÓW Z OSTRZEŻENIEM, ŻE IDĄ PRAWDOPODOBNIEM NA ŚMIERĆ. NIE POSŁUGIWAĆ SIĘ ŻADNYMI JEDNOSTKAMI KOMUNIKACJI MIĘDZYPLANETARNEJ. WRÓG NIE POWINIEN SIĘ ZORIENTOWAĆ. ŻE POSIADAMY DOSTATECZNE ŚRODKI OBRONY AŻ DO CHWILI, GDY CAŁY UKŁAD BĘDZIE GOTÓW DO JEDNOCZESNEGO DZIAŁANIA.



Mieszkańcy Masa 4 doświadczyli już niejednej inwazji przybyszów spoza swego układu słonecznego. Około dwudziestu pięciu milionów obywateli rozpoczęło więc pośpieszną, lecz planową ewakuację — wszystko to jako środek ostrożności wobec spodziewanego lądowania nie uzbrojonej rakiety ratunkowej.

Buck ocknął się z niespokojnego pólśnu w momencie, gdy rakieta poczyniała się zbliżać do odsonicznej strony planety. Wszystkie przyrządy obserwacyjne, jakimi tylko dysponował człowiek, pracowały starając się uzyskać wszelkie dostępne dane, ale dla Bucka sprawy techniczne były najzupełniej obojętne. W chwili kiedy stwierdzono obecność wiązek kierunkowych, Buck ziewał pracowicie. W chwili gdy promienie urwały się raptownie, przystępował właśnie do przeciągania się. Otrząsał się z rozkoszą, kiedy analizatory doniosły, że atmosfera planety jest podobna do atmosfery ziemskiej; wykazuje wprawdzie nadwyżkę gazów szlachetnych dość znaczną, nie przekraczającą jednak proporcji charakterystycznych dla mieszanek azoto-tlenowych.

Tymczasem rakieta opuszczała się ostrożnie, wypatrując wszelkich możliwych niebezpieczeństw. Aparatura podczerwona wykryła brzeg morski i jakieś bliżej nieokreślone urządzenia, stanowiące być może wyposażenie portu. Maynard poderwał natychmiast stateczek pionowo w górę, ale w odległości wszystkiego dwustu kilkudziesięciu kilometrów zbliżył się do planety. Cóż, jego zdaniem było dać się zabić, o ile mieszkańcy planety rozporządzają odpowiednimi środkami, ale nie miał przecież obowiązku ułatwiać im tego. Jeżeli wykryli, że rzekoma kometka przybyła z kosmosu, jest w istocie stalkiem międzygwiazdowym, i tak mają się na baczności. A jeżeli są istotami, które wymordowały kolonistów z Capella 3, za wszelką cenę będą się starali nie dopuścić, by rakieta powróciła do swego statku macierzystego.

Wreszcie, z nieskończoną ostrożnością, rakietka wylądowała w terenie pokrytym — jak pokazywały analizatory — gęstą roślinnością o pierzastym liście. Mijały nie kończące się minuty, a Maynard wciąż siedział w najwyższym napięciu, gotów błyskawicznie poderwać stateczek w niebo na pierwszą oznakę jakiegokolwiek wrogiej akcji. Ale nic takiego nie przyszło. Mikrofony transmitowały wprawdzie z ze-

wnątrz różne dźwięki, ale nie ulegało wątpliwości, że są to tylko przypadkowe odgłosy zwykłego życia leśnej guszy. Po długiej chwili Maynard uchylił iluminator. W dalszym ciągu nic.

— Jeżeli ktoś chce się wybrać na ochotnika po okazy biologiczne — oznajmił wreszcie — niech idzie. Ale ostrzegam, że w razie alarmu mogę wystartować nie czekając na nikogo. Będę się starał wymknąć, w ten sposób przekonam się najlepiej, co nasi wrogowie są w stanie uczynić, żeby nas zatrzymać.

Odpowiedziało kilka głosów. Potem rozległ się szcęk otwieranych drzwi. Buck ruszył wesoło w stronę wyjścia. Z zewnątrz powiało na niego mnóstwo intrygujących woni. Kilku mężczyzn wyszło już na dwór; posuwali się ostrożnie, z bronią w pogotowiu. Drzwi pozostały otwarte, tylko w pobliżu czuwał mężczyzna, gotów je w każdej chwili zatrzasknąć i zaryglować, gdyby rakietka była zmuszona do nagłego startu. Dla ludzi opuszczenie rakiety było aktem niepośledniej odwagi — mogli przecież już nie powrócić, jeżeli istoty zamieszkujące planetę okażą się rzeczywiście wrogie i stateczek, który ich tutaj przywiózł, przystąpi do wykonania



powierzonej misji ściągania na siebie nieprzyjacielskiego ognia. Ale Bucka intrygowały tylko nieznanne zapachy. I owszem, wielką radością byłoby znaleźć się na powrót w towarzystwie Holdena, lecz i ci ludzie są także jego przyjaciółmi. A skoro onj zapuszczają się w ów świat niezliczonych nowych woni...

I Buck skoczył miękko na ziemię. Od razu znalazł zatrudnienie dla swego nosa. Już sama gleba miała woń inną niż na Ziemi. Nowa była roślinność. Odkrył też tropy niewątpliwie zwierzęce, pozostawione jednak przez zwierzynę, z której zapachem nigdy dotąd się nie zetknął. Słyszał obok siebie poruszenia jednego z mężczyzn, zajętego pobieraniem próbek wegetacji. Bardzo wiele wniosków można było wyciągnąć z analizy skrobi i błonnika zawartego w roślinności obcej planety. Ale Buck mógłby powiedzieć znacznie więcej na podstawie tego, co odkrył przy pomocy węchu. Tędy jakieś mięsożerne zwierzątko gonilo małą trzepoczącą się istotkę, która to wzbijała się w gąszcz zwisającej roślinności, to znów opadała na ziemię. Tu znowu inne zwierzątko, roślinożerne, bez żadnego widocznego powodu dało w przerażeniu olbrzymiego susa, widocznie spadła na nie jakaś istota latająca, ale chybiła. Tędy zaś przesunęło się wyraźnymi skokami coś, co niemal do złudzenia przypomina zapachem żmiję. Tam znowu jakieś zwierzę ciepłokrwiste pozostawiło trop ciągły, posuwając się na brzuchu.

Buck nie ustawał w swoich poszukiwaniach, bez reszty pochłonięty tym światem nowych woni. Od czasu do czasu słyszał dźwięki powodowane przez ludzi, i to dodawało mu pewności siebie. Więc oddalał się coraz dalej i dalej od rakiety, czasami tylko zatrzymując się i nasłuchując. Znalazł właśnie norę jakiegoś zwierzęcia i pracowicie obwąchiwał wejście do niej, kiedy rozległy się odgłosy mające istotne znaczenie.

Pierwszy z odgłosów zaczął się gdzieś na horyzoncie i stopniowo przybliżał się ku zenitowi. Był to niski, jednostajny warkot, jaki wydają nadlatujące maszyny atmosferyczne. Buck niejednokrotnie słyszał podobny warkot na Ziemi. Był to dźwięk mechaniczny, a więc dźwięk powodowany przez człowieka, a więc dźwięk, wobec którego nie należało żywić żadnych obaw ani podejrzeń. Równocześnie począł zbliżać się odległy stukot. Ten znów przypominał hałas powodowany przez buldożery lub inne podobne pojazdy mechaniczne używane przez człowieka, a więc i jego nie było się co bać. Buck jął dalej entuzjastycznie obwąchiwać norę.

Teraz rozległy się energiczne głosy męskie. Gdyby to wolał Holden, Buck natychmiast puściłby się pędem. Ale innych ludzi nie słuchał tak bez zastrzeżeń. Niuchnął jeszcze raz i drugi ociągając się. Kiedy wreszcie ruszył bez pośpiechu w stronę, skąd dochodziły nawoływania, posłyszał skowyt rakiety wzbijającej się w niebo. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie mogli go tu pozostawić — tak samo jak musieliby w podobnych okolicznościach opuścić kolegę — bo ich zadaniem było przekonać się, jakim uzbrojeniem dysponuje planeta, i ażeby to wy badać dokładnie, chcieli znajdować się w powietrzu.

Kiedy jednak dotarł do miejsca, gdzie wylądowała rakieta — rakiety nie było.

(Ciąg dalszy nastąpi)



PARLAMENTARIUSZ

Wg Murraya Leinstera
opr. Krzysztof Zarzecki

(Dokończenie)

Buck stanął jak wryty. Brzęczenie nad głową urosło już w grzmity, kołujący ryk. W ciemności krążyło nad nim tam i z powrotem wiele, wiele maszyn latających, tak ugrupowanych, że doprawdy niepodobniestwem wydawało się, aby rakieta mogła się wymknąć cało z pola ostrzału kierowanych za pomocą radaru pocisków. Równocześnie zbliżał się co najmniej z trzech różnych stron mechaniczny stukot.

Buck zaczął z niedowierzaniem obwachiwać miejsce, gdzie niedawno stała rakieta — a teraz jej nie było. Potem ruszył niespokojnie tropem mężczyźni, którzy pobierali próbki roślinności. Nie do pojęcia było, żeby ludzie mogli go opuścić. Wracali raz po raz na miejsce, gdzie zatrzymała się rakieta. Oczywiście, czuł się nieszczęśliwy, ale nie przyszło mu nawet do głowy, że ludzie pozostawili go tu na dobre. Czekał niecierpliwie, kiedy się spostrzegą, że o nim zapomnieli, i powrócą, żeby go zabrać.

Warkot zataczał wciąż kręgi po ciemnym niebie. Stukot zbliżał się zza ściany mroku. Wszystko to są maszyny używane przez ludzi, nie jego ludzi może, ale zawsze ludzi, którzy na pewno polubią wielkiego, brunatnego, dobrze ułożonego psa z obrozą na szyi, informującą, że jego panem jest niejaki Holden. A może nawet pomogą mu powrócić do Holdena. Na razie jednak Buck kręcił się niepewnie w miejscu, na które jak dotąd rakieta nie powróciła. A hałas i stukot narasta.

Kiedy stukot był już bardzo blisko, z góry trysnęło jaskrawe światło; wydobywało się z samolotu, zataczającego nad głową psa zawrotnie małe i niskie kręgi. Bezlitośnie obnażyło wszystko dookoła — i Buck zamrugał oślepiiony. Ale nie przejął się tym zbytnio. Maszyny jeżdżące po ziemi, maszyny latające, jaskrawe światło — wszystkim tym posługuje się człowiek. A szanujący się pies potrafi nawiązać poprawne stosunki z każdym człowiekiem. Choć oczywiście nie mogą to być takie wyjątkowe stosunki, jakie łączyły Bucka z załogą macierzystego statku, nie mówiąc już o więzach łączących go z panem, które są jedyne w swoim rodzaju.

Buck usunął się przezornie z drogi, bo teraz zabłysły także przenikliwe reflektory maszyn, które ze stukotem przedzierały się przez dżunglę, roztrzaskając z wielką siłą pierzaste drzewa. Usunął się z drogi, ale ani myślał kryć się w ciemności. Mrugał oczami i mętno machinalnie ogonem, gotując się, by z należytą kurtuazją przyjąć ludzi, którzy wysiądą z bliskich już maszyn. Ma się rozumieć, że pomogą mu odnaleźć Holdena.

Jedna z maszyn stanęła i coś z niej wysiadło. Nie była to jednak istota ludzka. Przez chwilę Buck węszył z niedowierzaniem. Potem sierść mu się zjeżyła. Nie wierzył samemu sobie. Przecież maszynami posługują się ludzie. Tylko ludzie. Masańczyk zbliżał się

ku niemu, więc Buck warknął ostrzegawczo. Poraziła go nieznośnie jasność. Warknął ponownie i zjeżył się jeszcze bardziej. Ten wielki, brunatny pies ostrzegł teraz, ażeby istoty, które zapewne niszczyły jednostki ziemskiej floty międzygwiazdnej i dewastowały kolonie ziemskie, nie ważyły się go tknąć. Buck naturalnie nic nie wiedział o zaginionych statkach i masowych mordach. Był tylko psem, psem należącym do człowieka, i nie wyobrażał sobie, ażeby mogła istnieć jakaś inna istota równa człowiekowi, której rozsądny pies nie powinien się sprzeciwiać.

Była to co się zowie niecodzienna scena. Dziwne, niesamowite drzewa, wspinające się ku zasnutemu chmurami niebu, po którym obłędnie ciasne kręgi zataczał snop jaskrawego światła. Olbrzymie, połyskliwe maszyny o silnych, niezwykle silnych reflektorach, przesywających pierzaste listowie i kreślących ziemię mnóstwem ostrych cieni. I pierścień Masańczyków, mieszkańców czwartej planety układu Masa Gama — istot na dobrą sprawę niezbyt różniących się od człowieka — otaczający miejsce, gdzie niedawno wylądowała rakieta ratunkowa, a w tej chwili osaczony stoi wielki, brunatny pies i warczy ostrzegawczo.

Przez jakiś czas trwało oczekiwanie. Jednakże istoty, które potrafią wysłać w przestrzeń sygnały radiowe, które posiadają komunikację międzyplanetarną i radar, nie mogą być takie znów głupie. Ponadto w pojazdach zainstalowane były jeszcze urządzenia nadawcze, które przy pomocy wiązek kierunkowych przekazywały do punktów obserwacyjnych wszystko, co działo się w polu widzenia. Dzięki temu świadkami spotkania mogły być najteższe mózgi planety. I zapewne właśnie przed ekranem w którymś z obserwatoriów zorientował się ktoś, że przeciw łapy Bucka nie są absolutnie przystosowane do obsługiwanego jakiegokolwiek mechanizmu ani tym bardziej do budowania statków przestrzennych. A może stwierdzono to w wyniku jakichś bardziej skomplikowanych zabiegów...

Dość, że rozległy się dźwięki, w których Buck rozpoznał mowę, jakkolwiek nie mógł zrozumieć ani słowa. Odwrócił się powoli od pierwszej istoty, która wciąż jeszcze stała w tym miejscu, gdzie zatrzymała się na jego warknięcie. Zamrugał z godnością, oślepiiony przez krąg reflektorów. Jednakże żadne ze światła nie przybliżyło się. Więc ograniczył się do kilku krótkich, pełnych godności pomruków ostrzegawczych. Jego panowie byli tu i odjechali. Ale wróć. Wróć na pewno. Nie mylił się co do tego. I on tu będzie na nich czekał. Maszyny mogą sobie krzątać, jeśli im się podoba. Jego panowie prawdopodobnie żyćczą sobie, żeby krążyły, więc on się temu nie będzie sprzeciwiał. Ale z tego miejsca się nie ruszy.

Ostentacyjnie obrócił się dwa razy w kółko i położył na ziemi. Ale łba nie opuścił i wciąż mrugał oczami. Leżał spokojnie i z godnością, ażeby pokazać, że ludzie zostawili go tu, więc musi czekać, kiedy powrócą, żeby go zabrać. A w duchu żywił rozpacziwą nadzieję, że to Holden wróci po niego.

★

Do Departamentu Wojny na Masa 4 nadszedł raport. Był to raport ścisły i rzeczowy. Opisywał dokładnie cały postój małej rakiety międzyplanetarnej w północnym okręgu Pierwszego Kontynentu. Ponadto wraz z raportem przekazano fotografie śladów ludzkich i miejsca, gdzie wylądowała rakieta, oraz zdjęcia filmowe Bucka. Jemu poświęcono była również większa część raportu.

Inteligencja ograniczona, ale niewątpliwa — głosił raport. — Posiada umiejętność współżycia z innymi istotami. Nie zachowuje się ani specjalnie przyjaźnie, ani wrogo, lecz z pobłażliwością. Najwidoczniej przyzwyczajony do maszyn, odnosi się do nich bez obaw, ale i bez zainteresowania. Wykazuje zadziwiająco pewność siebie, tak jakby miał jakieś podstawy do zachowania niezależności od istot o wyższej inteligencji. Jednakże nie przejawia wrogości, dopóki nie próbuje się oddziaływać na niego. Wydaje się, że należy do jakiegoś gatunku podporządkowanego istotom, które wybudowały statek przestrzenny, chociaż jego

użyteczność nie jest jasna, gdyż nie posiada ani chwytliwych kończyn, ani żadnych dostrzegalnych uzdolnień technicznych, predysponujących go do nadzorowania mechanizmów... Obecnie przystąpiliśmy do instalowania psychoanalizatorów i będziemy starali się uzyskać dalsze szczegóły na podstawie wspomnień utrwalonych w mózgu stworzenia, które oczywiście nie powinno zorientować się, że dokonujemy na jego osobie jakichś badań. W tym celu dokładamy wszelkich starań, ażeby nie naruszyć jego równowagi duchowej...

★

Następny raport donosił:

Przy pomocy psychoanalizatorów udało się wydożyć z badanego stworzenia wspomnienia wzrokowe i słuchowe o całkowicie zadowalającej ostrości. Okazuje się, że należy ono do gatunku żyjącego w symbiozie z istotami, które obsługują statek międzygwiezdny. Jego użyteczność dla istot wyżej ukształtowanych pozostaje w dalszym ciągu nie wyjaśniona, natomiast jego zależności od tych istot — które, nota bene, są wcale podobne do nas — niezbitnie dowodzą zapisy dołączone do niniejszego raportu. Wrażenia wzrokowe stworzenia są stosunkowo ubogie, za to posiada ono znakomity węch i słuch. Szczególnie żywe są jego wspomnienia węchowe. Tak na przykład jego wspomnienia wzrokowe obejmują tylko niektórych członków załogi statku międzygwiezdnego, podczas gdy wspomnienia węchowe obejmują wszystkich bez wyjątku. Natomiast dane techniczne, jakie można uzyskać od „Bucka” — bo takie jest wspomnienie słuchowe znane stworzeniu jako własne imię — są minimalne albo zgoła żadne, a to z uwagi na jego całkowity brak zainteresowania takimi sprawami. Wspomnienia przypuszczalnej bazy macierzystej na planecie, z której przybywają agresorzy, ograniczają się niemal wyłącznie do wrażeń węchowych. Poza tym stworzenie interesuje się ogromnie wszelkimi drzewami i słupami oraz zapachami, jakie z nimi kojarzy... Żałujemy bardzo, że nie udało nam się uzyskać żadnych istotniejszych danych technicznych...

W odpowiedzi nadszedł z Departamentu Wojny rozkaz następującej treści:

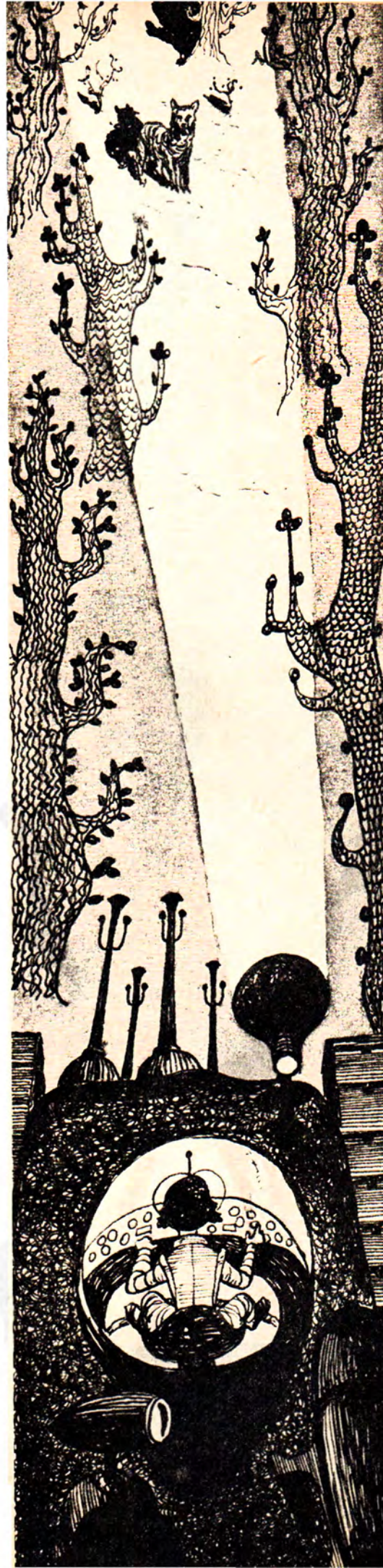
UWAGA. SPRAWA NIE CIERPIĄCA ZWŁOKI. NINIEJSZY ROZKAZ ANULUJE WSZYSTKIE BEZ WYJĄTKU ROZKAZY DOTYCHCZASOWE. NIECHAJ ŻADEN OBYWATEL NIE PODEJMUJE JAKIEJKOLWIEK AKCJI NIEZGODNEJ Z TREŚCIĄ TEGO ROZKAZU.

Rada Planetarna zdecydowała, że nasza postawa wobec agresorów zostanie ostatecznie ustalona po uwzględnieniu wszystkich wiadomości, jakie będzie można uzyskać od tzw. Bucka. Chodzi szczególnie o zbadanie wzajemnych stosunków istot wyższych i niższych. Jak wiadomo, istnieją metody psychologiczne oddziaływania na rasy zależne tak, ażeby były one uległe wobec swoich tyranów. W jakiej mierze któraś z tych metod stosowana była wobec Bucka i jaka to była metoda? Jakie prawa przysługują rasie niższej? Jakie kary są na nią nakładane za przekroczenie tych praw i czy pozostawiają one jakies trwałe piętno społeczne? W jakiej mierze Buck może oczekiwać od swoich panów lojalności? Czy istnieje jakiś kodeks, pisany lub zwyczajowy, regulujący stosunki obu ras i czy rasa wyższa go respektuje? Czy...

W dalszym ciągu rozkaz wdawał się we wszelkie możliwe szczegóły. Jego myślą przewodnią było przypuszczenie, że mózg Bucka — jako stworzenia współżyjącego z człowiekiem — powinien zawierać całkowicie obiektywny obraz rasy ludzkiej. Na stosunek Bucka do własnych wspomnień można było wpływać, ale same wspomnienia powinny być nie zniekształcone. Psia wizja ludzkości powinna się więc okazać wizją nader interesującą.

Rada Planetarna uznała za słuszny wniosek, że od Bucka nie uzyska się żadnych danych technicznych ani militarnych. Ale bezcenne mogą się okazać te wiadomości, które da się od niego uzyskać. Żaden człowiek nie zasługiwałby na pełną wiarę jako informator o swoim własnym gatunku. Ale pies...

Rada Planetarna nie przerwała przygotowań wojennych. Nikła była nadzieja, aby przyszłość mogła



przynieść cokolwiek innego niż nieprzerwane pasmo walk i zmagañ. Ale jeśli była jakakolwiek nadzieja, to koncentrowała się ona bez reszty na Bucku.

*

Co do Bucka, to położenie, w jakim się znalazł, było dlań całkiem niepojęte. Miejsce lądowania rakiety było teraz ogrodzone, a on sam uwięziony wewnątrz ogrodzenia. Istoty, które nie były ludźmi, odnosiły się wprawdzie do niego z respektem, on zaś jako dobrze wychowany i szanujący się pies odplacał im należną kurtuazją, ale równocześnie te same istoty wciąż podsuwały w jego stronę jakieś aparaty, a to już zdecydowanie mu nie odpowiadało. Teraz na przykład miał przed sobą megafon, który wydawał najrozmaitsze dźwięki. W pewnej chwili megafon szczechnął głosem do złudzenia przypominającym pewnego znajomego psa. Tak, Buck doskonale pamiętał psa z bazy w Rigel, którego głos brzmiał identycznie. Odszczeknął gniewnie, ale tamto szczekanie już się nie powtórzyło. Innym razem odezwał się głos Holdena. Buck aż podskoczył z niezmierną radością i, mierzając tak, że z ogona utworzyła się ruchoma smuga, zapamiętał się w ujadaniu i skowycie, jakimi zawsze wita pies swego pana powracającego po wielodniowej nieobecności. Kiedy wreszcie zorientował się, że to tylko megafon, ugiął się pod ciężarem zawodu. Skomlać biegł wzdłuż ogrodzenia i wypatrywał Holdena.

Badano także jego reakcje na różne inne bodźce. Jeden z Masańczyków przyniósł mu jedzenie. Z początku Buck ponuchał je nieufnie i odszedł. Jeśli już miał jeść jakieś nieznanne rzeczy, to wolałby coś sam sobie upolować. Potem jednak skapitulował i zjadł. Masańczyk zaopatrzony był w przenośny megafon, który od czasu do czasu wołał: „Buck, Buck”. Buck wprawdzie pomachiwał wesoło ogonem na dobrze znane słowo. Ale nawet gdy Masańczyk nauczył się sam je wymawiać, nie wyzbył się wobec niego rezerwy. Bo Buck tęsknił za ludźmi. A już szczególnie za swoim panem. Gdy tylko zapadł w drzemkę, we śnie pojawiał mu się Holden. Gdy zasnął mocniej, częstokroć nawiedzały go sny tak wyraźne, że łapy same drgały krótkim, urywanym skurczem bezsilnego buntu. Kiedy indziej szczechnął, zawył lub zaskomlał przez sen; lecz przeważnie było to skomlenie niepoahamowanej radości, gdy w swych snach ujrzał Holdena.

Buck ani przeczuwał, że aparaty podsuwane mu przez Masańczyków rejestrują wspomnienia przeżywające się przez jego mózg pod wpływem coraz to większej ilości bodźców, jakim Masańczycy byli w stanie go poddać. Buck rozumiał znaczenie ponad stu słów, o ile wypowiedziane one były określonym tonem. Słowa te, powtarzane przez megafon na podstawie zapisów wydobytych ze wspomnień Bucka, wywoływały niezmiennie te same reakcje.

Podczas gdy przygotowania do ataku na „Kennessee” postępowały nieprzerwanie naprzód, równocześnie prowadzili Masańczycy intensywne badania nad Buckiem. A w miarę jak wzrastała znajomość jego psychiki, starali się także zaskarbiać jego przyjaźń. Masańczyk, któremu to zadanie przypadło w udziale, nie szczędził żadnego wysiłku, ażeby tylko zastąpić Buckowi Holdena. Posługiwał się więc nagraniami jego głosu. Próbował głaskać Bucka w sposób, który — jak świadczyły wspomnienia — wprawiał stworzenie w stan najwyższego szczęścia. Raz nawet zaczął się tarzać z Buckiem po ziemi, bo niekiedy czynił to Holden. A wymagało to niemałej odwagi, bo Buck był wielki i silny, Masańczyk zaś nieduży i stosunkowo wątpy.

Ale Buck nie chciał się bawić. I owszem, zachowywał się uprzejmie i grzecznie, ale była to tylko grzeczność, do jakiej czuje się zobowiązany pies wobec innych zwierząt hodowanych przez człowieka, takich jak konie, krowy czy owce, od biedy nawet koty. Ale żaden pies nie będzie przecież baraszkował ze skaczącym jagnięciem ani ganiał się z płochliwym żrebakiem. Więc Buck zachowywał rezerwę. Ani myślał rezygnować ze swej lojalności wobec ludzi w ogóle, a w szczególności wobec Holdena. Jadł wprawdzie i łaskawie tolerował masańskiego uczonego, który nie zdołał mu zastąpić Holdena, chociaż uchodził za jedną z dwu czy trzech najtępszych głów w układzie Masa Gama. Ale mimo że jadł, markotniał coraz bardziej, w miarę jak upływały dni rozciągając się w końcu w tygodnie. Markotniał i chudł, choć zdawał sobie podświadomie sprawę, że te dziwne istoty, które nie były ludźmi, polubiły go bez zastrzeżeń.

Ale cóż, pies, który należał do człowieka, nie czuje się dobrze, kiedy zostanie od człowieka oddzielony.

*

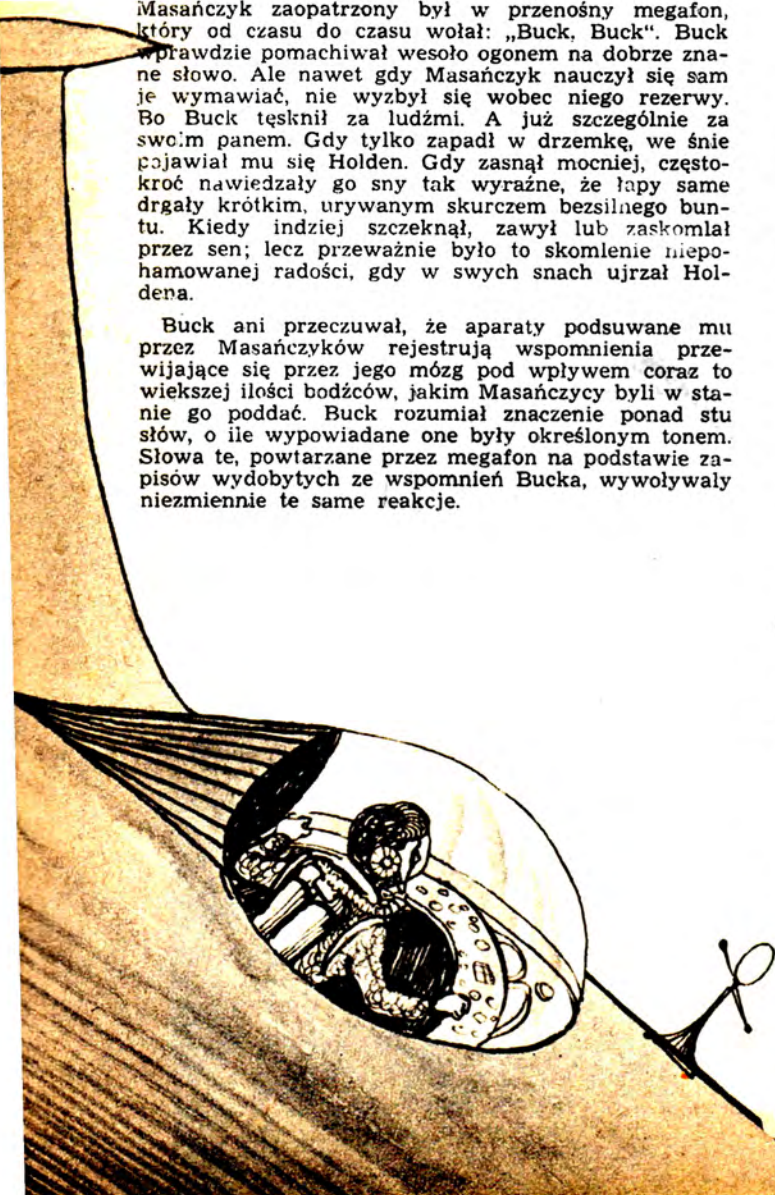
„Kennessee” posuwał się nadal po wybranej orbicie.

Powróciwszy na pokład macierzystego statku, Maynard tłumaczył, jak umiał, niefortunną historię z Buckiem i Holdenem przysjął to tłumaczenie do wiadomości, jednakże ani jednemu, ani drugiemu wyjaśnienie nie przyniosło ulgi. Nie czekano by i na człowieka w podobnych okolicznościach, ale z psem sprawa ma się trochę inaczej. Pies nie potrafi sam myśleć o sobie. Wszyscy rozumieli, że nie było innej rady, że trzeba było Bucka pozostawić, jednakże wszystkim było przykro.

Materiały przywiezione z Masa 4 zostały poddane dokładnym badaniom. Równocześnie gromadzono coraz to nowe zapisy przestrzennych sygnałów radiowych, kontynuowano obserwację planet przy pomocy teleskopów elektronowych, zbierano coraz liczniejsze dowody istnienia wysokiej cywilizacji. I nieprzerwanie towarzyszyły krążownikowi wiązki kierunkowe wysyłane z Masa 4.

W ogóle sytuacja była nad wyraz wątpliwa i napięta do ostateczności. Na spotkanie zbliżającej się rakiecie ratunkowej wyruszyły wprawdzie tylko pojazdy terenowe i samoloty atmosferyczne. Na pozór mogłoby się wydawać, że świadczy to o bardzo ograniczonych możliwościach obronnych. Jednakże z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że w układzie Masa Gama istnieje komunikacja międzyplanetarna. A towarzyszące „Kennessee” wiązki kierunkowe oraz natychmiastowe wykrycie rakiet ratunkowej dowodziło, że mieszkańcy układu doskonale wiedzą, iż nie z kometa mają do czynienia.

Cywilizacja dysponująca środkami komunikacji międzyplanetarnej oraz sygnalizacji przestrzennej, a nie posiadająca dostatecznych środków obronnych niewątpliwie próbowałaby w takiej sytuacji nawiązać kontakt z „Kennessee”. Próbowałaby nawiązać kontakt chociażby po to, ażeby wyczerpać wszelkie możliwości negocjacji z agresorem. Fakt, że żadna tego rodzaju próba nie miała miejsca, niczego dobrego nie wróżył. Wskazywał raczej, że rasa zamieszkująca planety przycała się w oczekiwaniu chwili, kiedy będzie mogła niespodzianie wymierzyć śmiertelny cios. Nic więc dziwnego, że załoga „Kennessee” żyła w stanie skrajnego napięcia nerwowego, czuwając bez przerwy



przy detektorach i dźwigniach, gotowa natychmiast wprowadzić krążownik w przyspieszenie, gdyby tylko wykryto zbliżający się zdalnie kierowany pocisk o dużej szybkości.

★

— Wcale mi się to wszystko nie podoba — któregoś dnia przyznał się Holdenowi kapitan. — My na ich miejscu na pewno staralibyśmy się nawiązać kontakt z takim przybyszem z przestrzeni. Tylko, że ci piraci pojawili się znenacka na Capella 3 i od razu zaczęli mordować, zanim można było przystąpić do jakiegokolwiek akcji. Chyba to jednak oni muszą zamieszkiwać planety. Dobrze, że zdążyliśmy wysłać meldunek na Ziemię. Jak nie wrócimy, będzie chociaż wiadomo, gdzie skierować flotę z bombami międzyplanetarnymi.

— Nie mogę odzłować, że to nie ja dokonywałem tej próby lądowania — powiedział Holden twardo. — Czy wysłaliśmy jeszcze jedną torpedę z wiadomościami na Ziemię?

— Nie. I poprzestaniemy na tej jednej próbie lądowania — odrzekł kapitan. — I tak jest absolutnie nieprawdopodobne, żeby ci się udało odnaleźć miejsce, gdzie wylądowała tamta rakietka. Zresztą Buck...

— Tak, został na pewno zabity, jak tylko go znaleźli — dokończył Holden.

Nie mógł mieć o to do nikogo pretensji, nie przekszadzało to jednak, że był rozgoryczony. Brakowało mu Bucka.

Aż oto dwunastego dnia od jego zaginięcia od Masa 4 oderwał się statek międzyplanetarny. „Kennessee” zdążył już okrążyć planetę i zmierzał teraz do punktu perihelijnego po przeciwnej stronie jej słońca. O ile dotrze cało do tego miejsca, kapitan zamierzał wprowadzić krążownik w przyspieszenie i ze wszystkimi uzyskanymi wiadomościami wyruszyć w drogę powrotną do bazy. Ale pojawienie się statku międzyplanetarnego podważało cały ten plan.

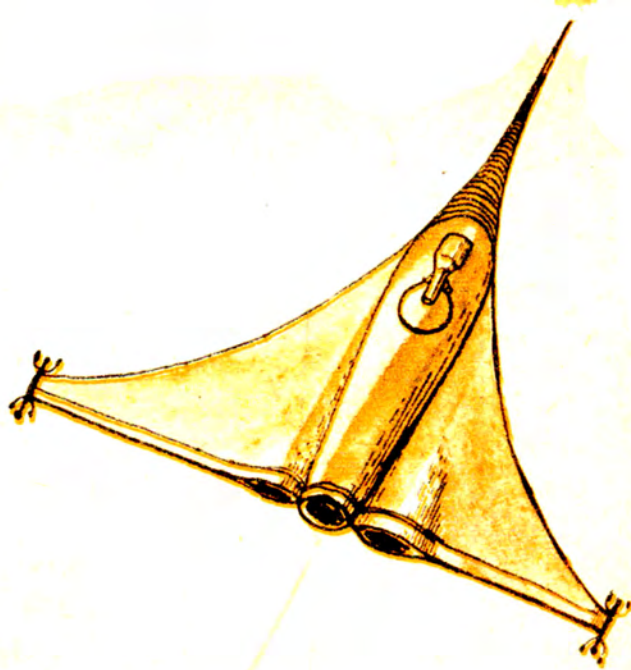
Z pozoru wydawało się, iż jest on poruszany przy pomocy napędu raketowego, statek ciągnął bowiem za sobą jakby ogon wyrzucanych gazów. Jednakże spektroskopowy wykazały, że jest to po prostu produkt spalania jakiegoś związku węglowodorowego. Poza tym „ogon” nie posiadał najmniejszej siły odrzutu, która dowodziłaby, że spełnia on jednak rolę napędu. Przypominało to pasma dymu rozsnuwane nieraz przez samoloty dla celów reklamowych.

Po dwóch dniach lotu statek oddalił się dość znacznie od planety, po czym łagodnym łukiem zmienił kurs. Niedługo potem do kabiny kontrolnej przyszedł oficer nawigacyjny z meldunkiem, że zarówno kierunek, jak i szybkość jego lotu wskazują na to, iż statek pragnie się zbliżyć jak najbardziej do „Kennessee” i nawiązać łączność. Potem „ogon” dymu jął na przemian cienieć i grubieć, cienieć i grubieć — niechybnie po to, ażeby przyciągnąć uwagę krążownika.

W kabinie kontrolnej odezwał się megafon.

— Panie kapitanie — zabrzmiał ochrypły głos Holdena. — Nasza pseudorakieta zarzuca nas wszelkimi możliwymi sygnałami. Wciąż podnosi i obniża widmo, próbuje modulować częstotliwość i amplitudę, i tak dalej. Niech pan tylko posłucha.

I w megafonie rozległo się wesole: „Luf!” Najwyraźniej było to szczeknięcie Bucka. A zaraz potem ludzki głos zawołał: „Buck”. Chociaż zniekształcony trochę, był to ponad wszelką wątpliwość autentyczny głos Holdena. Jak szalony wykrzykiwał teraz: „Buck, leżeć”. „Do nogi, Buck”. „Przynieś to, Buck, przynieś”. I różne podobne rozkazy, na które Buck był nauczony reagować. Jako środek nawiązania łączności pomiędzy dwiema obcymi i nie ufającymi sobie nawzajem rasami — zasób wyrażen znanych wielkiemu łunatnemu psu imieniem Buck odznaczał się wprawdzie zbytnią bezceremonialnością. Ale czyż można sobie było wyobrazić coś równie niedwuznacznego w intencjach?



— Wie pan, co to oznacza, kapitanie? — powiedział Holden drżącym głosem. — Oni musieli to wszystko jakimś sposobem wydobyć z mózgu Bucka. Wyczytali to w jego pamięci. Tak, innej możliwości nie widzę. A teraz chcą z nami nawiązać łączność. — Po czym dodał głucho: — Tylko czy oni go nie zabili, żeby móc się grzebać w jego mózgu...

— Holden — rzekł kapitan. — Bądź tak dobry i odpowiedz im. Tylko musisz przemówić jak do Bucka. Zobaczymy, co będzie.

W megafonie kabiny kontrolnej rozległ się głos Holdena skierowany do innego mikrofonu.

— Buck — mówił Holden chrapliwie. — Słyszysz mnie, staruchu? Odezwiij się. Słyszysz mnie, Buck?

W odpowiedzi megafon zaniósł się radosnym ujadaniem, jakim Buck witał zawsze swego pana. Buck szczekał i warczał, skomlał i skowyczał, aż wreszcie znów przeszedł w nieprzytomne ujadanie. Stworzenie oszalało z radości.

— To on, panie kapitanie... — powiedział Holden niepewnie. — Usłyszał mnie. A więc nie zrobili mu żadnej krzywdy. Kapitanie, chyba trzeba będzie...

— Tak, Holden, masz zupełną rację — rzekł kapitan opanowanym głosem. — Właśnie miałem ci powiedzieć, żebyś wziął raketę ratunkową i spróbował dowiedzieć się czegoś bliższego o tych istotach. Może uda ci się wejść z nimi w bezpośredni kontakt. Istoty, które potrafiły poznać się na porządnym psie i mają dość uczciwości, żeby zwrócić go prawowitemu właścicielowi, nie mogą być tymi samymi istotami, które dokonały masakry pół miliona ludzi na Capella 3.

★

Masański uczone, który miał zastąpić Buckowi Holdena, zaprzyjaźnił się dosyć ze swoim rywalem, kiedy „Kennessee” wylądował na Masa 4. Do bazy macierzystej wysłana została jeszcze jedna torpeda, ażeby wyjaśnić dokładnie sytuację i przedstawić powody, które skłoniły załogę do nawiązania przyjaznych stosunków z mieszkańcami układu Masa Gama. Ma się więc rozumieć, że gdyby „Kennessee” nie powrócił, nikt na Ziemi nie miałby wątpliwości, kto jest odpowiedzialny za zaginięcie krążownika. Jednakże Masańczycy wydawali się tym wcale nie przejmować, nie przejmowali się przeto i członkowie załogi.

— Wszystko to świetnie się uzupełnia — tłumaczył Holdenowi masański uczone. — Posiadając energię atomową możecie promieniom świetlnym, z którymi was zaznajomiliśmy, nadać dowolną siłę. Dzięki temu łatwiej damy sobie radę z naszymi wspólnymi wrogami. To śmieszne, że my jako napęd w komunikacji międzyplanetarnej nauczyliśmy się wykorzystywać promienie świetlne, bo nie zaliśmy energii atomowej, a wy odkryliście energię atomową, bo nie posiadaliście naszych promieni świetlnych.

— Na pewno znajdzie się jeszcze wiele innych rzeczy, które się w ten sposób będą zająbiały — powiedział Holden. — Będziemy mogli nawzajem uzupełnić naszą wiedzę, o ile oczywiście nie utracimy do siebie zaufania.

— Tak — rzekł Masańczyk jakoś melancholijnie. — I pomyśleć, że my mieliśmy zamiar spalić was promieniami świetlnymi, bośmy się was bali, a wy chcieliście zniszczyć naszą cywilizację przy pomocy bomb międzyplanetarnych, bo baliście się nas. Jeśli do tego nie doszło, to zawdzięczamy to tylko Buckowi.

— Mimo wszystko — powiedział Holden z zażenowaniem — ja ciągle nie jestem w stanie pojąć, jak wyście mogli tak bez reszty nam zaufać. Obawiam się, że my byśmy nie zaufali tak dalece nieznanym sobie istotom. Czy możliwe, żeby to wszystko było zaśluga Bucka...

— Jednakże tak — odparł Masańczyk poważnie. — Wydobyliśmy z jego mózgu wszystkie wspomnienia. Absolutnie wszystkie. I okazało się, że jego gatunek uwielbia człowieka. Buck przyjąłby z rąk człowieka nawet okrucieństwo. Ale ludzie nie byli wobec niego okrutni. Bez wahania oddałby za człowieka życie, ale nikt tego od niego nie żądał. Jest wam oddany bezgranicznie, ale i wy za oddanie odpłacaliście mu przyjaźnią. Czy wiesz, co skłoniło ostatecznie Radę Planetarną, żeby zastosować wobec ludzi politykę pełnego zaufania?

— No, nie... — przyznał Holden.

— Twoje przywitanie z Buckiem, kiedy po raz pierwszy wkroczyłeś na pokład naszego statku — powiedział z uśmiechem Masańczyk. — Buck już przedtem zdradził nam wszystkie swoje sekrety. Sam o tym nie wiedząc stał się niemal że zdrajcą. Wyjawił nam wszystko, co sam wiedział o człowieku. Ale trzeba było widzieć tę scenę powitania. Buck skoczył na ciebie i razem zaczęliście się tarzać po podłodze. Ścisкалиście się jak kochankowie. A ty ani pomyślałeś, że takie wielkie psisko może ci niechcący zrobić krzywdę. Ucieszyłeś się na jego widok tak samo, jak on na

twój. I to rozstrzygnęło ostatecznie o naszej polityce. Wiedzieliśmy już, że ludzie za zaufanie odpłacają lojalnością. — Po chwili Masańczyk dodał: — To znaczy, większość ludzi.

— No, tak — potwierdził Holden, znów zażenowany. — To właśnie niepokoi naszego kapitana. Powiada, że wy się zachowujecie zupełnie tak, jakby wszyscy ludzie byli tacy porządni, za jakich mają nas psy. A to nieprawda. Będziecie musieli w przyszłości... no, jakby to powiedzieć... będziecie musieli trochę bardziej z nami uważać...

— Dowiedzieliśmy się i tego od Bucka — stwierdził Masańczyk. — Ale dowiedzieliśmy się także, że zawsze znajdziemy ludzi, którym będziemy mogli zaufać.

Przez ciemnozielony trawnik nadbiegał szalonymi susami Buck Holden siedział wraz z Masańczykiem na czymś w rodzaju tarasu przed jego domem. Buck dopadł ich, dysząc radośnie, i położył pysk na kolanach Holdena. Potem machnął Masańczykowi łaskawie ogonem i znów pognął przed siebie.

— Do mnie nigdy nie podbiegnie w ten sposób — powiedział Masańczyk. — A ja... tak, myślę, że lubię go niemniej od ciebie.

— To dlatego, że ja jestem jego panem — wyjaśnił Holden. — Ale traktuje ciebie jak człowieka. Nie zauważyłeś tego?

— Masz rację. Nie zwróciłem uwagi, ale tak, masz rację. Słuchaj, musimy i my zacząć hodować psy. Psy powinny nas polubić, tak samo jak ludzi. Wówczas człowiek, który lubi psy, łatwiej zaufa Masańczykowi, który także je lubi, i na odwrót. — Masańczyk zamiał się. — Bo czyż moglibyśmy nie zaufać człowiekowi, którego porządny pies ma za pana? W ten sposób ludzie staną się nam braćmi.

Na tym kończy się ten krótki epizod z historii poszukiwań korsarzy międzygwiazdnych. Wszyscy wiemy, że zamieszkiwany przez nich układ został w końcu odnaleziony, i wszyscy wiemy, że nim zdążyliśmy nawiązać z nimi jakiegokolwiek pertraktację, już ich statki przestrzenne z zaleńczą wściekłością atakowały naszą flotę. A więc sprawa musiała się zakończyć ich całkowitą zagładą — albo też zagładą ludzi i Masańczyków. Wówczas to po raz pierwszy statki ziemskie posłużyły się w walce masańskimi promieniami świetlnymi. Ale to historia, którą wszyscy znają.

Nie wszyscy natomiast wiedzą, że przed gmachem Rady Planetarnej na Masa 4 stoi pomnik Bucka. Masańscy uważają to za rzecz zupełnie naturalną. Lubią psy ponad wszelką miarę, a i psy ich lubią. Masańscy ukuli już nawet przysłowie, które powiada, że najlepszym przyjacielem Masańczyka — jest pies.

Nie ma natomiast żadnego posągu Bucka na Ziemi. Ale Buck nie żywi o to pretensji. Czyż nie jest szczęśliwym psem i bez tego? Jest przecież z Holdenem. Nie odstepuje go na krok.

KONIEC

